

Leon hr. Potocki  
(*Bonaventura z Kochanowa*).

## Wspomnienia o Świsłoczy Tyszkiewiczowskiej, Dereczynie i Różanie.

(*Dokończenie*).

### R ó ż a n a.

Roku 1834, przy końcu czerwca, jadąc z Brześcia Litewskiego do Słonima, zajechałem na nocleg do Różanej. Ponieważ był to dzień targowy, karczmy chłopstwem przepelnione zastałem. Zawołałem faktora i kazałem sobie stancję wyszukać w prywatnym domu, co gdy, jak to mówią, na jednej nodze dopełnił, wysiadłem z bryczki przed małym drewnianym dworkiem, będącym własnością Daniłowicza, dawnego sługi ks. kanclerza Sapiehy. Gospodarz osiemdziesięcio-kilkoletni starzec, w płóciennej kapocie i słomianym kapeluszu, przyjął mnie u drzwi swojego domu i wprowadził do izby białą wytynkowaną, czysto wymiecioną. Tapczan, kilka sosnowych zydełków, ława między kominem a piecem, stanowiły sprzęt cały. Na ścianach pozawieszane obrazki święte: N. P. Żyrowickiej, Ostrobramskiej i św. Kazimierza, patrona Litwy. Na oknach stały doniczki z gieranum, miesięczną różą i kanną indygą. Roztasowawszy się w mojej kwaterze, kazałem nastawić samowar, a zrobiwszy herbatę, zaprosiłem na nią Daniłowicza.

— Ojcie, — rzekłem do niego, — już dawno żyjecie na świecie, dawne pamiętacie dzieje.

— Mój jegomość — odpowiedział starzec, — kto dziewiąty krzyżyk wnet skończy, wiele widział, wiele zapamięta, wiele żałuje, a jeżeli jeszcze czegoś sobie życzy, to chyba wiecznego spoczynku.

W mojej młodości służyłem wojskowo podczas konfederacji Barskiej, w chorągwi pana podczaszego Potockiego, co to był żonaty z Sapieżanką; gdy się wojna skończyła, wróciłem do Litwy i wszedłem do dworu ks. kanclerza Aleksandra Sapiehy, — Panie świeć nad jego duszą! W roku 1794, zaciągnąłem się na nowo do żołnierzy, ale ranny, o żebraczym chlebie, dostałem się napowrót do Różany. Dawnych panów już przy życiu nie zastałem;

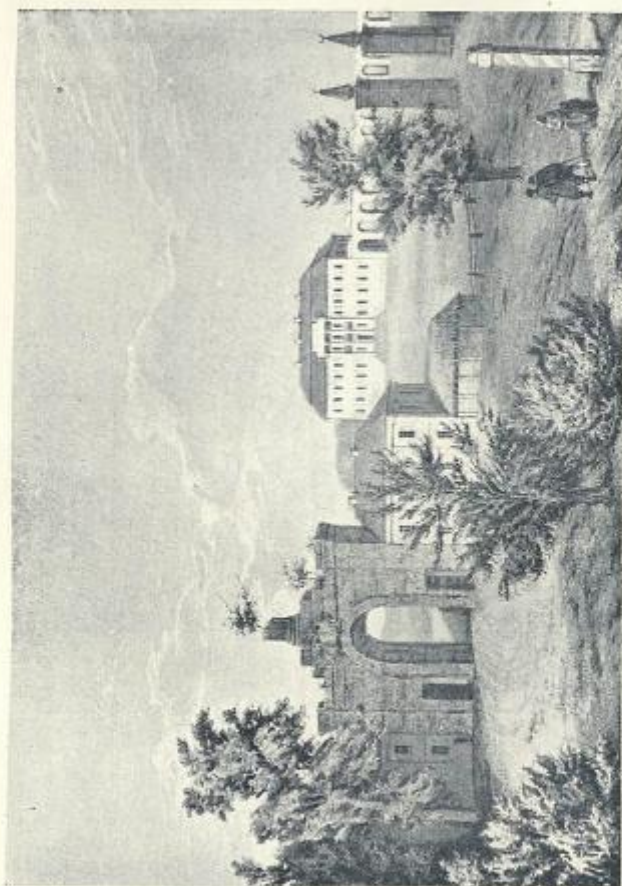
z całej chudoby pozostał mi ten dworek z ogrodem i dwieście złotych dożywotnej pensji, którą od ks. Franciszka, syna dobrodzieja mojego, regularnie pobierałem, ale równo z jego śmiercią utraciłem i ten ostatni do życia zasilek. Odtąd chociaż są jeszcze kartofle w garnku, braknie do nich okrasy.

Po herbacie, chcąc korzystać z ostatnich chwil zniżającego się ku zachodowi słońca, poszedłem z Daniłowiczem obejrzeć dawny sapieżyński pałac. Skorośmy weszli do środka obszernego gmachu: — „tu, niegdyś — rzekł stłumionym głosem Daniłowicz, — mieszkali przez parę wieków panowie antenaci panów moich, starożytna Sapiechów rodzina; tu mieszkał książę kanclerz, tu się syn jego urodził, nosiłem go na ręku, nie spodziewałem się, że go przeżyję!

Jerzy Sapieha wojewoda mściwowski, z Izabelli Połubińskiej, miał syna Kazimierza i trzy córki: Benedyktę za Mikołajem Radziwiłłem wojewodą nowogródzkim, Krystynę za Tyszkiewiczem i Annę za Szczuką. Z powtórnego zaś małżeństwa z Soltanówną, spłodził jedną córkę, Katarzynę, dziedziczkę dóbr Różany, Kretynki i t. d. wydaną we dwadzieścia lat po śmierci ojca za Józefa Massalskiego, podczaszego litewskiego. Katarzyna Sapieżanka, pozostała sierotą bez ojca i matki, wychowała się przy siostrze Radziwiłłowej, od niej wyszła za mąż. Chociaż byłem wówczas kilkoletnim dzieciakiem, pamiętam, kiedy pani wojewodzina nowogródzka przeprowadzając państwa młodych do Lachowicz, rezydencji hetmana Massalskiego, zatrzymała się w Róźnie, gdzie ją przyjmował wraz z całym weselnym towarzystwem, Kazimierz Sapieha, starosta wołyński, brat stryjeczny panny młodej. Pamiętam owe fety, ucztę, tańce, fajerwerki, a jeżeliby mnie w czem dziecienna pamięć nie dopisywała, wraziły się w nią częste o tem samem opowiadania rodzica mojego.

Było to w roku 1752, w Róźnie, na początku miasta; od tej właśnie strony skąd pan przyjechałeś, wznosiła się tryumfalna brama przystrojona we wszelkie insygnia szczęśliwego hymenu, z połączonemi cyframi i herbami skoliigaconych z sobą węzłem małżeńskim rodzin. Pochód cały poprzedzała sotnia sapieżyńskich Bośniaków, za nimi szła nadworna kapela, przygrywając na dętych instrumentach uroczystego marsza; dalej koniuszy z masztelarzami konno, potem laufry piechotą, za temi pani wojewodzina nowogródzka z panią podczaszyną litewską, siostrą swoją, w otwartej landarze, całej wyłacanej, ciągnionej sześciu hiszpańskimi dzianetami, białemi jak mleko. Za pojazdem stało dwóch pajuków i hajduk, a po każdej stronie, po jednym małoletnim paziu, przyczepionym na stopniu, wszyscy w sapieżyńskiej barwie. Przy pojeździe prawego boku, jechali konno: pan wojewoda nowogródz-





Róžana (Z Alb. Napoleona Ordy).

ki z Kazimierzem Sapiehą, gospodarzem miejscowym, otoczeni pierwszymi dygnitarzami Litwy; z lewego boku, pan podczaszy Massalski, w towarzystwie liczego grona najdorodniejszej młodzieży. Długi szereg różnorodnych pojazdów ciągnął się z tyłu, a na samym końcu oddział piechoty regimentu sapieżyńskiego imienia, zamykał ów godowy orszak.

Kiedy wyjeżdżali na dziedziniec pałacowy, zagrzmiały armaty. Przed gankiem powitał młodą parę Michał Massalski, hetman polny, a uściskawszy syna i synowę, gdy mu do nóg upadli, udzielił ojcowskiego błogosławieństwa. Późem wyszedł na ich spotkanie ks. Michał Radziwiłł, hetman wielki, wielkiego ks. litewskiego, wraz z małżonką swoją, ostatnią z książąt Wiśniowieckich, a podawszy rękę pannie młodej, wprowadził ją przy odgłosie muzyki do wspaniałych komnat różańskiego pałacu. W drugiej parze szła za nimi ks. hetmanowa z panem podczaszym Massalskim. Nie będę panna szczegółowie opisywał owych traktamentów, biesiad, tańców, zabaw rozmaitego rodzaju, dosyć powiedzieć, że trwały z parę tygodni; pół Litwy się na nie zjechało, a ponieważ niepodobieństwem było pomieścić wszystkich w pałacu, cała ludność Różany wyniosła się do pobliskich wiosek, a w domach miejskich, oczyszczonych i wyporządkowanych, ulokowano przyjezdnych. Podczas, gdy we dworze karmiono gości samemi łakociami, najdroższe wino i miody laly się fontanną, dla służby pieczono codziennie całkowiłe woły, barany, cieleta i wieprze. W stajni kilkaset koni przyjezdnych stało na pańskim obroku.

Ach! panie dobrodzieju, inne to wtedy były czasy, inni też ludzie, inaczej się żyło! Dawniej każdy szlachcic, byle karmazynowy, w kontuszu z sajety, w złocistym pasie, z czapką na bakier, przy karabeli, wyglądał jak magnat, dziś każdy magnat w kusej sukni, z obciętymi połami, w ciasnym kapelusiku i w wąskich pluderkach, wygląda tak jak nam malują djabła, lub tak, jak komedjant, co za pieniądze sztuki na teatrze odgrywa. Otempora o mores! Po owych sapieżyńskich fetach o których bardzo długo po pańskich dworach i po szlacheckich dworkach tak jak o bajecznym królewiczu i o zaczarowanej księżniczce opowiadano, pan hetman Massalski zabrał z sobą do Lachowicz syna i synowę. Prócz Pani wojewodziny nowogródzkiej, której było boleśnie rozstawać się z siostrą, nikt nowożeńców nie odprowadzał, bo jeżeli hetman nie miał zwyczaju zapraszać, mało też kto i to chyba dla interesu do niego zawitał. Tu jeszcze dodać należy, że owe młode stadło, tak dobrane co do wieku, majątku, znakomitości rodu, niedługo używało szczęścia, chociaż mu je wszystko zdawało się wróżyć.....

Pan podczaszy Massalski, nieszczęsnem zrządzeniem losu, zmy-



sły utracił, żona jego po długich staraniach i trudnościach, dopiero za wdaniem się ks. kanclerza Czartoryskiego, otrzymała rozwód, ale powtórnych związków małżeńskich nie zawarła i młoda umarła. Mąż jej w stanie obłąkania przeżył lat dwadzieścia. Starzec, czy zmęczony długim opowiadaniem, czy znękany smutnymi wspomnieniami, zamilkł i na dalsze moje zapytania, gdy zaprzestał odpowiadać, szanując milczenie, pochodzące z głębokiego uczucia, wyszedłem na dziedziniec pałacowy. Cały był zarośnięty trawą, po której pasły się kozy, w ogrodzie szpalery wycięte, fruktowe drzewa zdziczałe; zamiast kwiatów, zielska i chwasty; stawy powyrywane, kanały bez wody, a póśrodku tego powszechnego zniszczenia gmach, przypominający jeszcze na zewnątrz czem był przed laty, na wewnątrz.... przerobiony na fabrykę! W cóż się obróciły owe komnaty napełnione całym przepychem wschodu i zachodu? Gdzie ów liczny zbiór rzadkich książek, bogata zbrojownia? Gdzie pokoje, do których uczęszczali prymasi, biskupi, kanclerze, hetmani, wojewodowie, najpierwsi magnaci w kraju? Dziś, odrapane z kosztownych obić, ogolone ze złoconych lamperji, mieszczą warsztaty!

Powiadają, że „ciekawość pierwszym stopniem do piekła”, — czy tak jest, nie ręczę, bo tyleż ludzi codziennie po tych stopniach schodzi, że choć jeden byłby doszedł i doniósł nam co się tam dzieje, a tym sposobem może z ciekawości wyleczył. Nim to jednak nastąpi, ciekawy będąc, z jakiego powodu Massalski zmysły utracił, (o czem słyszałem tylko, jak to mówią, „piąte przez dziesiąte”), pomimo, że nazajutrz wyjechać miałem z Różany, zatrzymałem się dzień dłużej i dowiedziałem o tyle, o ile po upływie lat ośmdziesięciu może dojść do nas prawda nieoszepecona potwarzą zazdrości, nieskalana jadem zawiści, wytrawiona probierczym kamieniem czasu.

Dobrze ktoś powiedział, iż kraj nasz był zawsze podobny do zajezdnej karczmy, na wszystkie wiatry otwartej, do której każdy kiedy chciał zajeżdżał, najadł się, napił do woli. Gdzie ani morskie nadbrzeża, ani stromych gór pasma nie zabezpieczają granic, tam je łańcuchem obronnych fortec zastąpić wypada. Tej przezornej strategii wszystkie się prawie narody trzymają; jedni tylko ojcowie nasi, zdania tego nie dzielili, powtarzając, iż: „piers odważna i szabla w ręku najlepszą zasłoną i obroną”. Prócz słabych murów, okrażających niegdyś Kraków, Warszawę, Lwów, prócz Częstochowy, którą jedynie opieka Przenajświętszej Bogarodzicy cudownie ocaliła od Szwedów, prócz Kamieńca Podolskiego, utraconego przez Michała Korybuta Wiśniowieckiego, przez Sobieskiego nawet nie odzyskanego i dopiero traktatem Karłowickim Polsce przywróconego, prócz nadniemeńskich warowni nie-

litewskich przeciwko krzyżakom, ale raczej krzyżackich przeciwko Litwie, jeżeli w kraju naszym widzimy dotąd szczątki dawnych zamków, były to polskich magnatów dwory obwarowane przez nich samych od napadu Tatarów, a szczególnie od najazdu przeciwnego sobie, a nieraz możniejszego od siebie sąsiada. Do tego rzędu obronnych zamków, należały Lachowicze, położone nad rzeką Darrew, w dawnym województwie nowogródzkim. Jan Karol Chodkiewicz, hetman wielki, wielkiego ks. litewskiego, dziedzic Lachowicz, skąd się pisał hrabią, zamienił mieszkalny swój dwór w silną warownię, uchodzącą nawet za jedną z najmocniejszych w Polsce. Wnet po jego śmierci, Lachowicze przeszły do Sapiehów.

Za panowania Jana Kazimierza, w roku 1660, książę Chowański, z wojskiem cara Alexego Michajłowicza podstąpił pod Lachowicze, miasto spalił, a twierdzę przez sześć miesięcy oblegał. Bronił jej dzielnie Michał Judycki wojski rzeczycki, ale byłby na koniec musiał uleść przemocy, bo mu już prochu i żywności nie stało, gdyby Paweł Sapieha, hetman wielki wielkiego ks. litewskiego wraz z Stefanem Czarnieckim, wojewodą ruskim, po odniesionem zwycięstwie pod Połonką, nie byli uderzyli na obóz Chowańskiego, z czego korzystając Judycki, zrobił wycieczkę, i nie mało dopomógł do oswobodzenia Lachowicz. Jan Chryzostom na Gosławach Pasek, opisując to wojenne wydarzenie, tak się wyraża:

..... „Wjeżdża tedy Czarniecki do Lachowicz, w dzień N. Panny, wyszli przeciw niemu processjonaliter zakonnicy, szlachta, szlachcianki i kto tylko był w owem ciężkiem obleżeniu. „Witaj! — wołają — witaj niezwycięzony wodzu, witaj od Boga nam zesłany obrońco! Byli i tacy, osobliwie z białych głów co wołali: „Zbawicielu nasz!“ Zatulął czapką uszy, niechcąc owego słuchać pochlebstwa. Kiedy zaś po nim wjeżdżał Sapieha, połowy tego aplauzu nie było, tylko proste powitanie, choć to jego własne dzieciństwo. Zsiadł tedy do kościoła. Dopieroż *Te Deum* laudamus, dopieroż tryumf! Z armat bito, aż ziemia drżała, a potem nabożeństwo śliczne, kazania, gratulacje, dzięki Bogu za dobrodziejstwa i wszędzie pełno radości pomieszanej z płaczem, bo tam wszyscy magnatowie z księstwa litewskiego, do tej fortecy posprowadzali się byli. Nasprowadzał tedy Sapieha armaty zdobyczej siła do Lachowicz, one śliczne spiżowe wszystko i jednego działa nie obaczył żelaznego. Czarniecki posłał ich do Tykocina dwadzieścia kilka, przytączywszy do swojej dawnej dwie zdobyczne srodze długie i nośne“.

W roku 1706, kiedy Karol XII-ty zajmował w Litwie okolice Grodna, wojska zaś Piotra Wielkiego wzmocnione kozakami



Mazepy stały na zimowych leżach od Mińska do Lachowicz, twierdza ta, po walecznej obronie, poddała się Szwedom. W roku 1709, Grzegorz Ogiński, hetman wielki wielkiego księstwa litewskiego, wsparty posiłkami rosyjskimi, obległ Lachowicze, ale napadnięty od przemagającej siły Aleksandra Sapiehy, marszałka wielkiego litewskiego, trzymającego się strony Leszczyńskiego, po krótkiej walce musiał się cofnąć, zostawiwszy zwycięzcom cały sprzęt wojenny. Za panowania Stanisława Poniatowskiego, podczas konfederacji Barskiej, niejedna zaszła utarczka pod murami lachowickiej twierdzy. Odtąd zwolna upadać zaczęła, a dzisiaj za ledwie ślady po niej pozostały.

Od Sapiehów Lachowicze przeszły do Massalskich. Ks. Michał hetman, założył w nich rezydencję swoją; syn jego i spadkobierca Ignacy biskup wileński zamienił je z rządem na dobra w księstwie Żmujdzkiem i w województwie wileńskim położone.

Uchwałą sejmu grodzieńskiego, z 1793 roku, Lachowicze dostały się lennem prawem Kossakowskim, za sumę im należną od Rzeczypospolitej. Ród ks.ks. Massalskich chociaż od kniaziów ruskich początek swój bierze, nie słynął nigdy znakomitemi czynami, ani wielkiego znaczenia i dostaków nie posiadał. Ks. Michał pierwszy sobie samemu winien ogromną fortunę, którą dzieciom zostawił i dostojęństwom jakich dostąpił. Ambitny i chciwy, co zażądał otrzymał, bądź żelazną wolą, bądź za pomocą przychylnych okoliczności, z których korzystać umiał. Panował u nas podówczas August III, były to czasy trzydziestoletniego pokoju, czyli raczej letargicznego uspienia; Massalski też został kasztelanem wileńskim, a następnie „wielkim hetmanem pokojowym“, jak go wtedy zwano. Opowiadał sam, że kiedy zawakowały pieczęć i buława w. ks. litewskiego, we śnie zdało mu się, że je naprzemian podrzucał, pieczęć upadła na ziemię, a buława została mu w ręku. Czy sen dał mu myśl starania się o jej dostąpienie, nie wiem, to tylko pewno, że się wkrótce ziściło. Uchodził za bardzo rozumnego gospodarza, ale rozum jego na tem tylko pono zależał, aby dopiąć co przedsiębrał, a gospodarstwo, aby zbierać grosz do grosza. Wzrostu był bardzo małego, kompleksji nadzwyczaj chudej, doskonałego jednak zdrowia. Najwięcej się cieszył z tego, że sukna na kontusz o jeden łokieć mniej od ks. Karola Radziwiłła potrzebował, a na doktora i aptekę przez całe życie nic nie wydał. Skąpstwo jego do tego dochodziło stopnia, że po mszy św., której zawsze z wielkim nabożeństwem słuchał, idąc przez kościół powtarzał: „Panie Boże Wszechmogący, ofiaruję tę modlitwę na podniesienie kościoła świętego katolickiego, a mnie daj talarów bitych, holenderskich conajwięcej, Amen!“ Nadzwyczaj lubił pie-

niądze i w późnej starości bawił się po całych dniach, wyglądzaniem dukatów i przemywaniem talarów. Przy łóżku jego stała spora beczka napełniona dukatami, tak misternie ułożonemi, że chociaż jedna strona beczki była odkrytą, dostać ich ztamtąd nikt nie mógł.

Asystencja hetmańska, składająca się z kilku towarzyszy i kilkunastu szeregowych źle płatnych i najgorzej karmionych, ułożyła sobie następującą litanję:

„My do Polongi — krupnik za nami!  
 My do Myszy — krupnik za nami!  
 My do Słonima — krupnik za nami!  
 Od kotła czarnego, wybaw nas Panie!  
 Od hetmana naszego, uwolnij nas Panie!”

Nie bywał u nikogo w sąsiedztwie, chcąc się ustrzedz od re-wizyt, ale obawiał się nadewszystko odwiedzin ks. Karola Radzi-willa, który otoczony przyjaciółmi i sługami, zawsze w drużynie do stu osób wynoszącej, do sąsiadów zajeżdżał.

Razu pewnego, Massalski siedział sam jeden w swoim pokoju, wtem dają mu znać, że jedzie ks. Karol Radziwiłł z całą zgrają myśliwych i ogromną psiarnią. Zrywa się z miejsca, chce niekukać, lecz dokąd? Wygląda przez okno, dziedziniec pełen ludzi, obaczają uchodzić do dalszych pokojów niesposób, gdyż żadne drzwi nie zamykają się na zamek. Byłby się schował do kufra, gdyby nie obawa, że się może w nim udusić; byłby wlaź w komin, ale się na nim ogień palił. W tak krytycznem położeniu, nie traci bynajmniej głowy, wybiega na korytarz i zamyka się w miejscu najmniej czystem z całego domu.....

Książę „Panie kochanku”, zaledwie zsiadł z konia, ostrzeżony przez siebie przychylnych, idzie zaraz trop w trop za hetmanem, stanawszy w samych drzwiach kryjówki: — „Proszę otworzyć!” — zawołał. Milczenie. — Proszę otworzyć! — powtarza — bo drzwi wysadzę. — Na takie oświadczenie, Massalski, nie czekając dłużej, otwiera i wychodzi, a Radziwiłł, jakby zdziwiony cofa się o kroków kilka i jeden drugiemu kłania się, jeden drugiego przeprasza!

— „Mówili mi, że pana nie masz w domu” — odzywa się gość wesóło. —

— „Jestem” — odpowiada gospodarz żalonym głosem.

— „Kiedy tak, — dodaje tamten, — to się zapraszam do waszmości na trzydniówkę, podczas której popolujem, jeżeli łaska, w jego kniejach, w spiżarni i piwnicy!”

— „I owszem, proszę do środka,” — wyrzekł przerażony w. hetman w. ks. litewskiego tak cicho, że słów jego zaledwo można było dosłyszeć.



Książę Massalski odziedziczył po ojcu niewielką fortunę, doszedł jednak do wielkich dóbr jedynie przez posuniętą do najwyższego stopnia oszczędność, powiem nawet skąpstwo. Otoczony nielicznym dworem, odmawiał sobie nie tylko wygod życia, ale nawet potrzeb i tego wszystkiego co wymagała po nim znakomitość imienia i wysoka ranga jaką piastował. Ściany lachowickiego jego zamku były nagie, meble nadzwyczaj skromne, służba chodząca w szarakach i tylko podczas pobytu w stolicy, lub podczas sejmów, wdziawała na siebie liberję hetmańską, przez cały ciąg życia pana swego nieodnawianą. Raz na dzień jadł, a stół jego składał się niezmiennie z zupy i dwóch potraw, choćby najrzadszy i najdoszajniejszy gość do niego zawitał; i wtedy dopiero występowała jedna butelczyna cienkiego wina, gdyż zwykle pił tylko wodę, jak utrzymywał „dla zdrowia.“ Kiedy gdzie wyjeżdżał, to czterokonną kolaską; na stajni trzymał nie więcej nad dwanaście koni, wierzchowca żadnego, bo należał do tego rzędu hetmanów, co nigdy nie siadają na koni. Umarł w 1769 roku, mając lat przeszło 80 życia.

Pomimo tak obrzydłego przywiązania do pieniędzy, oddać mu trzeba sprawiedliwość, że był uczciwym i zacnym człowiekiem, żył z sąsiadami w nieznanym panom tamtego wieku zgodzie i pokoju. Nikogo nie krzywdził, owszem, najczęściej sam był skrzywdzonym w gruntach, lasach i sianożęciach. Skoro który z jego sąsiadów zaprowadził z nim spór o granicę, natychmiast używał komornika dla odgraniczenia się od napastnika, występując zawsze z tej zasady, że lepiej cokolwiek stracić, niż pokój z sąsiadami naruszyć. Taki sposób postępowania ośmielał niekiedy do najdziwaczniejszych wymagań. Pan Toplański, niedaleko mieszkający od Lachowicz, dziedzic bardzo szczupłego folwarku, dopominał się u hetmana piętnastu włók lasu. „A, do trzech śmierci! — zawołał — niechby o dwie, lub trzy, to możnaby się pomiarkować, ale piętnaście!... Napróżno pan Siewruk, jenerałny plenipotent zapewniał, że w prawie przedanem pan Toplański ma za ledwie trzy włoki całego obszaru, hetman kazał wydzielić cztery, „dla utrzymania — jak mówił — spokojności sąsiedzkiej“. Pożyczał pieniądze każdemu o nie proszącemu na procent prawny, ale nigdy nie protestował znacznej sumy, tylko zaliczał pożyczkę zdawkową monetą, warując sobie oddanie grubą lub złotem. Szlachta drobna, a przedewszystkiem żydki, korzystali z tego kredytu, jedni i drudzy pewno nie najrzetelniej się uiszczali, a hetman czy nie lubił, czy raczej się wstydił dochodzić prawem drobnych należności.

Pan hetman z Wołłowiczówny miał trzech synów i córkę. Starszy jego syn Jan, starosta sądowy grodzieński, a następnie

podskarbi nadworny w. ks. litewskiego, ożenił się z ks. Antoniną Radziwiłłówną, krajczanką litewską i miał z niej syna Józefa i córkę Helenę. Syn jego Józef, szef pułku 6-go piechoty litewskiej, wychowany w Paryżu, o nim to powiedziano, że „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”; był bowiem nietylko głupi, ale wielce rozpustnego życia. Żonaty także z Radziwiłłówną Józefą, siostrą ks. Karola wojewody wileńskiego, umarł bezdzietnie, żona zaś jego wyszła powtórnie za mąż za Michała Grabowskiego, koniuszego litewskiego. Na nim się zakończyła linja mężka Massalskich.

Helena, córka Jana podskarbiego, była naprzód za ks. de Ligne, a następnie za Wincentym Potockim, podkomorzym koronnym. Drugim synem hetmana, był Ignacy Massalski, biskup wileński; trzecim, Józef, podczaszy litewski, żonaty z Sapieżyną; jedyną zaś córką, Katarzyna Massalska, która, wbrew woli brata starszego, wyszła za mąż w r. 1770, za Józefa Niesiołowskiego, (podówczas jeszcze kasztelana nowogródzkiego) przez co dała powód do długiego i gorszącego procesu posagowego. Wszakże na końcu, całe dziedzictwo po Massalskich, o ile od marnotrawstwa biskupa wileńskiego pozostało, weszło w dom Niesiołowskich. Z kolei, Ksawery Niesiołowski, syn Józefa kasztelana i Katarzyny Massalskich, całą fortunę roztrwonił.

Józef ks. Massalski, podczaszy litewski, młodą swoją małżonkę prosto z Różany do Lachowicz zawiózł. Stary hetman przyjął syna i synową z ojcowskim błogosławieństwem, ale ani uczt weselnych, ani tańców, ani uroczystych obchodów nie wyprawiał. Nie usłyszano w lachowickim zamku głośniejszych oznak radości, bicia z armat, muzyki, wiwatów, nie sproszone dygnitarzy i obywatelstwa; wszystko się cicho, spokojnie, bez kosztów odbyło, a prócz księżnej wojewodziny nowogródzkiej, starszej siostry pani podcaszyny, nikt z obcych nie odprowadzał młodej pary.—Któżby uwierzył, że to były przenosiny magnackie, Sapieżanki, wydanej za mąż za ks. Massalskiego hetmańskiego syna.

Podówczas kojarzyły się małżeństwa, niezawsze za pociągiem dwóch serc zbliżonych do siebie obopólną skłonnością, ale raczej za wolą rodzicielską, przez wzgląd na stosunki towarzyskie, najczęściej bądź dla zjednoczenia, bądź wzmocnienia rozdwojonych lub osłabionych stronnictw, czasami zaś dla widoków majątkowych. Rodzice postanawiali, a dzieci bez szemrania spełniali ich wolę i dziwnem zrządzeniem losu, takie stadła po większej części szczęśliwymi były! Pochodziło to zapewne stąd, że młodzież, w zasadach cnót i moralności wychowana pod okiem rodziców, od nich przykład dobrego brała; nie rozromansowana czytaniem książek drażniących wyobraźnię, jeszcze się od zepsucia chroniła.

Pod takimi-to wróżbami odbył się ślub Sapieżanki z Massal-



skim; młodzi się prawie nie znali, ale Sapiehowie mieli na widoku ogromną fortunę hetmana, on zaś pragnął się skoligacić z jedną z najpotężniejszych rodzin w kraju. Kiedy podczas uroczystości różańskich zgromadzona Litwa spełniając młodej pary zdrowie, szczęścia im życzy, szczęście przepowiada, niestety! całkiem przeciwnie stać się miało. Katarzyna Sapieżanka, wychowana przez jedną z tych matron polskich, która do dawnych cnót rodowych łączyła wykształcenie umysłowe wyższe nad wiek, w którym żyła, po matce odziedziczyła wszelkie przymioty duszy i ciała, ugruntowane w młodości przez starszą wiekiem siostrę.

Józef Massalski początkowe wychowanie odebrał w domu, następnie pobierał nauki u Jezuitów w Wilnie. Dla młodego człowieka dom rodzicielski podczas szkolnych wakacji jest rajem, ale dla Józefa Massalskiego, kilkotygodniowy pobyt w Lachowiczach, był ciężką koniecznością. Nie było już matki, któraby wracające dziecko po tak długim niewidzeniu przytuliła do serca z pieśczęcią i miłością przyjęła; — Ojciec zajęty gospodarstwem, a raczej ciąglem nagromadzaniem zbiorów, nie uważał prawie na niego; dom był pusty, cichy, nudny, a jeżeli panicz znalazł w nim jaką rozrywkę, to jedynie w towarzystwie sług i dworskich, którzy mu pochlebiali, potakiwali a niczego dobrego nauczyć nie mogli. Z podwładnymi „za panie brat“; we właściwym zaś towarzystwie nieśmiały, o ile mógł od niego unikał. Skąpstwo ojca wyrobiło w synie odrębną do pieniędzy, rozwinęło pociąg do marnotrawstwa. Jedyną jego zabawą stało się polowanie, a przepędzając dnie całe w puszczach i lasach, przyzwyczał się do hulawczego życia, w niem zasmakował i nie jedną noc przepędził przy kielichu z kartami w ręku. Nadużycie trunków nadwęgryło zawczasu jego zdrowie, gra przymusiła do zaciągania długów, co przychodziło z łatwością spadkobiercy tak wielkiej fortuny. Popędliwego charakteru, hamować się nie umiał i to się stało powodem nieszczęśliwego losu jaki sam sobie zgotował. Takiemu to człowiekowi wojewodzina nowogródzka, powierzyła przyszłość i szczęście swojej siostry.

Przyjazd Józefa Massalskiego z żoną do Lachowicz nie zmienił w niczem dawnego trybu życia. Stary hetman nie otworzył podwojów swojej rezydencji, nie dodał ani jednej potrawy do codziennego obiadu, nie starał się niczem uprzyjemnić życia młodej synowej.

Mąż jej polował lub biesiadował za domem, czasami raz tylko na tydzień do żony powracał, a Katarzyna Massalska, zamieszkując całe jedno skrzydło lachowickiego zamku, przechadzając się samotnie po ogromnych a pustych komnatach, tęskniła za siostrą, za rodzeństwem, za owemi krótkimi chwilami swego

panieństwa, swobody, szczęścia, których zaledwo skosztowawszy, i już się więcej z niemi napotkać nie mogła.

\* \* \*

Ks. Karol Radziwiłł, „Panie kochanku“, w słuckiej puszczy wielkie wyprawiał łowy. Przez dni kilka zjeżdżali się do Nieświeża obywatele z województw: wileńskiego, trockiego, nowogródzkiego, mińskiego i nawet z odleglejszych stron kraju. Tam, obok Sapiehów, Ogińskich, Paców, Rzewuskich, Czapskich, zebrała się liczna Radziwiłłów rodzina, przybył z Murachwy Joachim Potocki, podcasy litewski, przyjaciel od serca ks. Karola, Hieronim Wielopolski, wielki koniuszy koronny z Pieskowej skały, ks. Sanguszko ze Sławuty, Lubomirski z Opola. Jan Klemens Brannicki hetman wielki koronny zapraszającemu go od Radziwiłła dworzaninowi odpowiedział: — „nie będę Moja panno,\*) — bo sam oczekuję lada chwila na królewicza Karola, mającego u mnie polować w zakątkowskich lasach.“ Nie przyjechał Sułkowski, wymawiając się nawałem spraw publicznych, ale ofiarował księciu w darze, jako wielką osobliwość, kilka par suseł. Radziwiłł chcąc dar darem Sułkowskiemu odplacić, posłał mu czterech wyczynionych niedźwiedzi, wyrażając się w dziękczynnym liście: „iż za wielkopolską zwierzynę, uprasza o łaskawe przyjęcie litewskiej;“ — daleko jednak gorzej na tem wyszedł, bo podczas, gdy niedźwiedzie zgrabnym swym tańcem zabawiły dwór pana na Rydzyńcu, susły uciekły z klatek i tak się rozmnożyły w okolicach Nieświeża, iż wnet dla poczynionych przez nie szkód, na przestrzeni włók kilkunastu zaprzestano pola zasiewać.

Hetman Massalski nie zawitał do Nieświeża; może się i lekkał, aby Radziwiłł, po ukończonych łowach w Słuczczyźnie, na przekorę, nie zaprosił się do niego z towarzystwem myśliwskim. Zastąpił go syn, Józef, cześnik litewski, przyprowadziwszy z sobą całą psiarnię, a szczególnie ową smycz potrójną olbrzymich charatów, o których bajeczne opowiadano popisy.

Ogromny zamek Radziwiłłowski nie mógł pomieścić zaproszonych gości; niejednen z przyjeżdżających stanął w mieście, a za miastem niby wojenne obozowisko, rozłożyła się pod szałasami zgraja strzelców, szczwaczów, dojeżdżaczy, oszczepników, tudzież parę tysięcy spędzonego ze wsi okolicznych ludu na obławę. W sam dzień św., Huberta rozpoczęły się łowy. O świcie, ks. Radziwiłł w kontuszu zielonym, w czapce tejże samej barwy, okolonej czarnym barankiem, ozdobiony orderem owego patrona myśliwstwa, otrzymanym od elektora bawarskiego, wyjechał konno z Nieświe-

\*) Takie hetmana zwykle było przymówisko.



za, otoczony gośćmi swoimi. Kiedy mu większa ich część towarzyszyła na dzielnych rumakach, byli tacy, którzy z tyłu pojazdami a nawet bryczkami jechali; była także i partyzantów, że się tak wyrażę, nie mała czereda. Zagorzali ci amatorowie, idąc z fuzijką w rękę, przez pola i krzaki, próbowali szczęścia, czy też czasami nie ubijają po drodze zająca lub lisa. Półtoromilowy ostep obrzucono parkami, za niemi oblawa; strzelców porozstawiano i na odgłos trąbki książęcego łowczego, 50 sfór ogarów spuszczone ze sfarów. Już gon psów powtórzony przez okoliczne echa rozległ się po puszczy, gęsto sypią się strzały, wtem z pośrodku kniei odezwał się huk strzelby, ponowiony po krótkim przestanku.

Ks. Massalski dufny w swoją zręczność i odwagę, a obeznany z położeniem miejsc w których nieraz polował, opuścił był linię strzelców, poszedł w głąb puszczy i zaledwo stanął na wybranem przez siebie stanowisku, spostrzega ogromnego niedźwiedzia. Nieustraszony młodzieniec, przypuściwszy go na kroków dwadzieścia, strzela i w bok trafia; ten się przewraca, ale nie bawiąc powstaje i na dwóch łapach z okropnym rykiem idzie na niego. Massalski nie traci głowy, wystrzeloną broń rzuca, a schroniwszy się po za drzewem, dobywa kordelasa i już się do zaciętej gotuje walki, gdy w tej chwili słyszy za sobą wystrzał, kula mu koło ucha gwiznęła, a niedźwiedź trupem pada. Skoro psy wyciągnięto z ostępu, strzelcy zebrali się przy ogniskach dla pokrzepienia sił swoich przygotowaniem śniadaniem.

Wypadek Massalskiego stał się przedmiotem ogólnej rozmowy. Jedni chwalą jego zimną krew i odwagę, ale większa część mocno się dziwi, jak można nie zabić niedźwiedzia o kroków dwadzieścia!

— „Nasz książę byłby go ubił na miejscu“ — odezwał się jeden z obecnych.

— „Cóż w tem osobliwszego, — odpowiedział na to pan Gintyń komornik, — wszakże tak się ma dzisiejszy hetman Massalski do św. pamięci ks. Michała Radziwiłła, przeszłego hetmana, a ojca naszego ks. Karola, jak syn pierwszego do syna drugiego“. Tymczasem pan podcaszy Massalski, zbliżywszy się do swego wybawcy, gajowego radziwiłłowskich lasów: — Mój bracie, — rzekł, podając mu garść złota, — przyjm ten mały upominek odemnie i bądź zapewniony o mojej wdzięczności.“

— „Daruj książę, — przerwał mu Radziwiłł, — ale mój sługa przezemnie tylko jednego wynagrodzonym być powinien! Panie Sorwiłło, — ciągnął dalej odwracając się do gajowego, — popisałeś się dzisiaj gracko, jak na szlachcica, a trafnego i odważnego strzelca przystoi, uratowałeś życie najbujniejszej latorośli hetmańskiego szczepu ks. Massalskich“. Te słowa wywołały powszech-

ny uśmiech, Massalski bowiem był wzrostu małego, szczupły, chuderlawy, rysów twarzy nieregularnych, cery chorowitej. „Przekonany jestem — dodał z pewnym rodzajem szyderstwa — iż hetman, pan również hojny jak i najlepszy ojciec, obsypałby cię złotem, ale to nie do niego tylko do mnie należy. Wypuszczam więc waszeci dożywotniem prawem Snelcy — bród, zaścianek w Słuczyźnie i rozkażę ci wypłacić z mojej szkatuły sto czerwonych złotych na zaprowadzenie gospodarki“. Gajowy rzucił się do nóg j. o. panu; Massalski pobladł, może więcej niż przed niedźwiedziem i ze złości wargi sobie zębami aż do krwi przyciął.

Łowy przeciągnęły się przez cały tydzień. Rozmaitego gatunku zwierza ubijano bez liku, a co wieczór, całe towarzystwo zasiadało wesoło do uginających się pod ciężarem srebrnych półmisek stołów, przepełnionych różnorodną strawą i zbyt wiele dodawać, że jadło po myśliwsku, a poradziwiłowski pili. Kiedy całe regimenta postawionych na stołach butelek wypróżniono, wciągano do jadalnej sali beczkę na kołach, srebrnymi obręczami okutą, a skoro z niej czerpiąc kufłami, wyczerpano węgryna do dna, za pierwszą wjeżdżała druga i trzecia dopóty, dopóki plac bitwy nie został usłany trupem. Niezwalczeni rycerze, mając zawsze na swoim czele księcia Karola, schodzili na dziedziniec zamkowy, tam rozebrawszy się, stawali pod studnią, a oblani od głów do stóp przez służbę zimną wodą, udawali się na spoczynek, przy odgłosie kapel śpiewając chórem:

„U naszego Radziwiłła,  
Zawsze szlachta tego pila  
A gdy trzeba tego bije,  
I wesoło sobie żyje!“

Podczas gdy w zamku nieświeskim wesołość i ochota panuje, Józef Massalski, zaraz pierwszego dnia owego niefortunnego dla siebie polowania, zamiast do Nieświeża na noc, przez pola i lasy do Lachowicz powracał.

Niezadowolony z siebie i z drugich, jechał sam jeden konno, zostawiwszy opodal za sobą swoją asystencję; ulubione tylko i nieodstępne charty biegły przy panu. Twarz blada, chmurne czoło, toczyła się w nim walka rozdrażnionej miłości własnej z obrażoną dumą: upokorzenie pierwszej, pragnęło zemsty, poniżenie drugiej, wywoływało pogardę. Pograżony w smutnych myślach, już do Lachowicz dojeżdżał, gdy żebrak siedzący na początku mostu wiodącego do bramy, ujrzawszy księcia a chcąc się z miejsca swego podnieść, że był kulawy, a do tego może i napity, oparł się na szczudło, szczudło usunęło, dziad padł jak długi pod nogi koniowi. Ten się spał, w bok skoczył, księcia z siebie zrzucił.



Rozjątrzony, zerwał się z ziemi i w pierwszym impecie zapamiętałego gniewu, skinął na charty: „hejże go ha!” — zawołał. — Ledwo tych słów domówił, psy na żebraka, — kaleczą go, szarpią, rozdzierają, a chociaż w tej samej chwili służba na ratunek przybiega, sam książę nieszczęśliwego broni, już zapóźno — już żebrak trupem, a książę mordercą! Nieszczęsny pędzi bez ducha do dworu, wpada do swego pokoju i w nim się zamyka. Ale wieść dokonanego czynu wnet się rozeszła po zamku i doszła do ojca i żony. Napróżno stoją pode drzwiami, napróżno proszą, aby je otworzył. Nie otrzymawszy odpowiedzi, hetman do najwyższego stopnia niepokojny, rozkazuje drzwi wysadzić. Nareszcie wpada do środka i widzi syna nieruchomie siedzącego na krześle, z opartą na ręku głową; śmiertelna bladłość twarzy jego pokrywa i gdyby nie lzy sączące się kroplami z oczów, możnaby mniemać, iż go opóściło życie. Wszelkich użyto sposobów ratunku i pociechy; pocieszano, że żebrak żyje, wszystko napróżno... Zdawał się nie widzieć, nie słyszeć, nie czuć. Przywołano lekarza i gdy ten uznawszy konieczność krwi upuszczenia, brał się do tego, przez roztwarte drzwi wpadły charty jeszcze krwią zbroczone, pobiegły prosto do pana swojego, spięły się i zaczęły go lizać po twarzy. Wzdrygnął się i przeraźliwym głosem — „Ratunku!” — zawołał, poczem rzucając się ku drzwiom, chciał z pokoju uciekać. „Ratunku!” — rozpaczliwie powtórzył, — kasała mnie, szarpią, wydzierają wnętrzności!” Charty wypędzono, upuszczono krwi, mimo to nie odzyskawszy przytomności, raz na zawsze zmysły utracił. Żona wywiozła go do Warszawy, stamtąd do Berlina i Paryża, gdy jednak wszystkie środki lekarskie okazały się bezskuteczne, po całorocznej wędrówce po obcych krajach, do Lachowicz z nim powróciła.

Pomieszenie Massalskiego było dziwnego rodzaju, znał wszystkich, rozumiał co do niego mówiono, nigdy nie nedorzeczy nie powiedział, łagodny, powolny, posłuszny wszystkim bez wyjątku. Były jednak chwile, w których zdawało się mu, że go psami szczują, wtedy wołając, „ratunku!” — uciekał, krył się gdzie mógł i byłby może z okna wyskoczył, gdyby go służba ściśle nie pilnowała. Wstawał rano i szedł codziennie na most, gdzie żebrak był zaszczywany, tam chodził bezustanku od jednego do drugiego końca, i napowrót aż do obiadowej pory. Po obiedzie rozpoczynał na nowo swoją przechadzkę, którą przeciągał do samego wieczoru. Niewstrzymywała go od niej ani pora roku, ani stan powietrza.

Mniemaniem wielu domowników było, że jakiś duchowny taką mu karę przeznaczył, inni utrzymywali, że sam sobie tę pokutę zadał; byli i tacy, którzy mówili, że go oczarował łech że-

braczy lachowicki. W takim stanie przeżył przeszło lat dwadzieścia.

Pewnego razu, przyszedłszy na most, skoro się zbliżył do miejsca, gdzie przed laty zbrodnia dokonana została, ujrzał siedzącego żebraka, ale gdy ten opierając się na szczudle powstał — „to on!” — przeraźliwie krzyknął i upadł na ziemię. Zemdłonego podjęto, zaniesiono do zamku, gdzie wkrótce potem skonał.

Księżna Katarzyna Massalska, niewinna ofiara rodzicielskiej woli, dopóki mąż jej był przy zdrowych zmysłach, chociaż najmniejszej oznaki przywiązania nie odbierała, opuszczona, i samotna, wszystko bez szemrania znosiła. Skoro mąż zmysły utracił, wzięła sobie za obowiązek, pilnowanie, pielęgnowanie chorego. Po powrocie z zagranicy, odjęto go zupełnie z pod jej dozoru, oddano w ręce lekarzy i służby. Ujrzała się tedy niepotrzebną w domu, w którym ją uważano za obcą i odjechała do siostry. Wówczas rozpoczęły się nieporozumienia, zatargi, procesa między dwoma zniechęconemi do siebie rodzinami. Wyprawa Massalskiej opartą była na kluczu różańskim; bracia jej męża wychodząc z zasady że za warjata urzędownie nie był uznanym, miał prawo władać majątkiem żony i tym sposobem sami chcieli rozciągnąć swoją opiekę nad nim, żoną jego oraz jej mieniem. Sapiehowie nie tylko że się sprzeciwiali temu, ale żądali, aby Józefa Massalskiego prawnie uznano warjatem, aby mu z przypadającej ojcowszyny przeznaczono pewien dochód na utrzymanie, resztę pobierała żona. I kiedy obie strony coraz bardziej jedna przeciwko drugiej się piętrzą, Massalscy pozywają bratową do ziemstwa nowogródzkiego, Sapiehowie idą do konsystorza wileńskiego o unieważnienie małżeństwa. Sprawa cywilna postąpiła do trybunału, duchowna do nuncjatury i niewiadomo jakby się długo ciągnęła, gdyby nie była zaszła kombinacja za pośrednictwem księcia kanclerza Czartoryskiego. Z obu stron zręczono się wzajemnych pretensyj i Katarzyna Massalska otrzymała rozwód. Po śmierci siostry swojej ks. Radziwiłłowej, wojewodziny nowogródzkiej, osiadła w klasztorze wileńskim Panien Bernardynek, świętego Michała, fundacji sapieżyńskiej.

Tam, przepędziwszy lat kilka na modlitwie i rozmyślaniu, w kwiecie młodości zeszła z tego świata. Przy wstępie do życia wszystko zdawało się do niej uśmiechać: fortuna otwierała jej swe skarby, znakomitość rodu okalała ją blaskiem, umizg nadziei ludoł obietnicą szczęścia, droga po której iść miała usłaną była łatem. I cóż jej z tych ułud i obietnic pozostało?

Na co się przydały dary fortuny, chwała starożytnego imienia Bolesne westchnienia uśmiech z ust spędziły, mamidło szczęścia zniknęło, burza rozwiała kwiaty, ciernie po drodze zostały, gorczyz wychyliła do dna!



Po śmierci Katarzyny Massalskiej, Różana do Sapiehów wróciła.

Zatrzymałem się dni parę w Różanie, a przechodząc po tych obszernych komnatach, nie powiem opustoszonego ale raczej skalanego gmachu, jakaś tęsknota i smutek ogarniały mój umysł. Wróciwszy do mojego mieszkania i przepędzając wieczorną porę na zajmującej rozmowie z Daniłowiczem, przenosiłem się w nbiegłe czasy; zdawało mi się że jeszcze żyję życiem ojców naszych, patrzę ich oczyma, i sercem ich czuję...

Daniłowicz pamiętał dobrze Józefa Massalskiego i jego małżonkę; ks. kanclerzowi służył wiernie i pocziwie przez cały ciąg swego żywota. Syna jego i córki nieraz piastował na ręku, widział Różanę w całym blasku świetności i doczekał się, niestety, jej schyłku, upadku, skalania...

Porównowując gruzy starożytnych gmachów do pochylonego póżną starością człowieka, pierwsze pomyślałem, są niezatartym jeszcze pomnikiem przeszłości, drugi żyjącym świadectwem tego co widział, zasłyszał, tego co było. Oglądajmy pierwsze, wstrzymując się wszakże od popędów nadto wybujałej fantazji, słuchajmy z uwagą roztaczanych przez drugiego tradycji. Gruzy przetrwały wieki i jeszcze przetrwają, człowiek umrze i oprócz czynów nic nie pozostanie po nim; gruzy są szkicem, fotografią tego co istniało, człowiek księgą niepisaną pamiętek. Gruzy nam przeszłość przybliżają, człowiek nas w nią przenosi. Słuchajmy zatem opowiadań starych ludzi, abyśmy je z kolei idącemu po nas pokoleniu powtarzać mogli.

Koniec.